

Teolteco: Ewolucja - Prolog — Rydyger

Od autora: Dawno temu powstał projekt, którego celem było wypracowanie warsztatu rysowniczego. Komiks, który powstał wytworzył dziurę, którą opowiadaniem staram się załatać. Poruszam wątki, na które nie było miejsca w komiksie i problemy, których nie sposób było dotknąć w tej prostej formie.

Teolteco, to opowieść z pogranicza science fiction i fantasy w klimatach postapokaliptycznej przyszłości. Opowiada o nieuchronności, przeczuciu, ale przede wszystkim nastawiona jest na wartką akcję i niejednoznaczność bohaterów.

Opowieść stanowić ma wprowadzenie do gry internetowej - która dopiero powstaje - o tym samym tytule.

Wszystkich zainteresowanych zapraszam do odwiedzenia strony projektu Teolteco (<https://rydygerart.blogspot.com>), skąd można pobrać zalecany plik .pdf ze wszystkimi przypisami i właściwym formatowaniem, a także zapoznać się pierwowzorem opowiadania.

KOREKTA ~~24.11.2017~~ 25.03.2018

Przemysław Rydyger

Teolteco

Ewolucja (Fragment)

/// Z uwagi na korektę tekstu (czcionki, przypisy, ilustracje itp) zaleca się plik .pdf, który można pobrać za darmo (cały prolog) ze strony projektu <https://rydygerart.blogspot.com/search/label/opowiadanie>

Planuję w najbliższym czasie wydanie skończonej książki, więc jeśli Ci się spodoba, to nie zapomnij śledzić mnie także na FB: <https://www.facebook.com/rydygerart.blogspot/> //

Prolog

Rodzaj ludzki od zarania dziejów toczył wojny na całym świecie. Już od narodzin gatunku towarzyszył mu rozlew krwi, a trzeba przyznać, że był to wyjątkowy gatunek. Jedyne w swym rodzaju. Tylko on potrafił stworzyć jednocześnie tak wiele pięknych rzeczy i tak wiele sposobów na ich zniszczenie. Przez wieki tworzył podwaliny moralnych zasad, by następnie je wszystkie łamać. Po każdej wojnie modyfikował stary system, by zastąpić go nowym, co i tak prowadziło do sprawowania kontroli nad światem. Rozmnażał się i niszczył wszystko na swojej drodze. Jak rak sączył życie z Ziemi.

Jednakże wszystko we wszechświecie, co ma swój początek, ma też i koniec. Niebawem nastał czas, który kolejne pokolenia nazwały Anihilacją. Cały rodzaj ludzki spowiła gęsta mgła wojny, dzieląc go na dwa obozy i tak nastał początek końca — kurtyna powoli opuszczała się, by zakończyć spektakl, jakim byli „ludzie”.

Pustkowia

Dwójka żołnierzy leżała na wzniesieniu obserwując w oddali zniszczone wojną miasto. Było już po zmroku i gdyby nie noktowizyjne lornetki pewnie nic by już nie widzieli.

Miasto wydawało się od dawna opuszczone. Zawalone budynki gdzieniegdzie porastały bujną roślinnością, przegrywając walkę z matką naturą. Metalowe drzewa ulicznych latarni przykrywała rdzawa kora. Powybijane szyby w oknach przez czas i szabrowników minionej epoki – Badylarzy, jak ich nazywali Utopijni mieszkańcy odrodzonych miast-państw, zapraszały do środka.

– Wciąż nie rozumiem, czemu nie mogliśmy wziąć ze sobą Mechów1? – Zapytał starszy szeregowy Bussho.

Został wcielony do oddziału całkiem niedawno. Kapral Takashiro nie pałał do niego optymizmem od samego początku i gdyby nie osobista prośba kanclerz Naomy nigdy nie wziąłby go w swoje szeregi. Kapral zgodził się na tę misję w nadziei, że może choć raz, wróg się na coś przyda i wróci do domu bez niego. Nie, żeby życzył mu śmierci, lecz stracił już tylu naprawdę dobrych żołnierzy, że skręcało go na myśl, jak ta pierdoła Bussho miałby zobaczyć koniec wojny.

Niewielkiej postury szeregowy idealnie wpasował się we wgłębienie w ziemi pomiędzy dwa głazy. Wyszuszony od radiacji krzak w oddali sprawiał, że od strony przeciwnika był niewidoczny jak za lustrem weneckim.

Chłopak nie wyróżniał się niczym szczególnym na tle innych. Ot, zwykły żołdak jakich wielu, lecz teraz, gdy tak kapral mu się przyglądał od krótkiej chwili, to doszedł do wniosku, że właściwie nie potrafi znaleźć nawet jednej wyróżniającej go cechy. No może poza tą, że nie miał żadnej. Nie dawało mu to spokoju. Dręczyło jak upierdliwe swędzenie w miejscu, w którym nie można się podrapać.

– Masz broję płytową, to nie jęcz – odburknął Takashiro i wrócił do swojej Opaski Operacyjnej.

Oplatała ona jego lewą przedramię i była istnym centrum dowodzenia. Łączyła się z bazą, satelitami, a nawet miała podgląd na bieżąco z kamer umieszczonych w hełmach podwładnych. Prostymi kliknięciami mógł wydawać rozkazy, które niczym nawigacja wyświetlały się na goglach towarzyszy w czasie rzeczywistym. Niektóre opcje pozwalały podglądać widok z kamer zamontowanych na karabinach, a nawet obraz satelitarny z markerami oddziałów. Dzięki temu żołnierze byli w stanie szybko reagować na zmiany jakie działy się na polu bitwy, a generałowie, siedząc w bezpiecznej odległości, wciąż koordynowali bitwę. Nanosili kolejne poprawki, jednocześnie będąc w stałym kontakcie radiowym.

Młody wpatrywał się jeszcze przez chwilę w kaprala, jak ten szuka czegoś w OOm'ie2. Wyczuwał jego niechęć do swojej osoby. Trudno było nie zauważyć jasnych sygnałów, a w misji takiej jak ta niosło to ze sobą pewne ryzyko – powinni sobie ufać i polegać na sobie nawzajem. Na szczęście, Bussho nie należał do tych, co zadręczają się takimi myślami. Sam z ochotą powiedziałby mu co myśli o kapralu. Zamiast tego jednak wypuścił głośno powietrze i przyłożył raz jeszcze lornetkę do oczu.

– Żywej duszy – stwierdził po chwili.

Kapral uniósł się lekko i przykucnął. Zbroja płytowa potrafiła uratować przed bezpośrednim ostrzałem, a nawet przed wybuchem, lecz ostatnimi czasy coraz częściej wróg wykorzystywał snajperów z bronią laserową. W połączeniu z czujnikami ruchu, noktowizorami, i kamerami na podczerwień nie było szans na przeżycie. Na szczęście przez długotrwałą wojnę, która wydoiła obie strony z wyposażenia, rzadko trafiał się aż tak uzbrojony przeciwnik.

Klepnął młodego w bark, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

– Dobra młody, zbieramy się.

– Nareszcie. Zaczynałem przymarzać do ziemi.

Pustkowia w dzień nagrzewały się do wysokich temperatur, lecz w nocy bardzo szybko je wytracały. W

ciągu dwóch godzin z pustynnego postnuklearnego klimatu zrobił się klimat podbiegunowy. Kaprał wyciągnął lewe ramię przed siebie, kierując smugę światła na suchy wyjąłowiony skrawek ziemi pomiędzy nimi. Na piasku wyświetliła się holograficzna mapa terenu ze zdjęciami satelitarnymi.

– Jesteśmy tutaj – zaczął kaprał. – Musimy dostać się tu – powiedział, wskazując na jasno migoczącą czerwoną ikonę. Takimi markerami oznaczano konieczne zadania misji.

– Z całym szacunkiem, ale czy nie mieliśmy już wracać do bazy? To miał być tylko zwiad – stwierdził Busscho, dostrzegając jednocześnie pod markerem kształt starego stadionu.

– Brawo młody – roześmiał się Takashiro. – Właśnie zostałeś wytypowany do tajnej misji. Mamy się tam spotkać z naszym informatorem.

Busscho wyraźnie zatkało. Zastanawiał się, czy rzeczywiście mogła być aż tak tajna, że nawet na odprawie nic mu o tym nie wspomnieli.

– No, zbieraj kłamoty i spadamy. Już pora. – Kaprał ruszył w dół zbocza.

Młody nawet nie chciał dyskutować. Przyczepił lornetkę do zbroi i podniósł swój karabin z ziemi, po czym ruszył za kapralem.

Dzięki zbrojom wyposażonym w specjalny mechanizm wspomagający, do obrzeży miasta dotarli naprawdę szybko. Zbroje umożliwiały im przenoszenie większych ciężarów, wyżej skakać, no i oczywiście szybciej biegać. Do pełni szczęścia brakowało tylko możliwości latania, lecz tę funkcję miały tylko Mechy. Niewiele takich zostało po Anihilacji. Było ich tak niewiele na wyposażeniu wojska, że trzeba było przejść długotrwałe szkolenie, by dopiero móc się o nią starać. Kadet taki dostawał miano pilota i rzadko zdarzało się, by brał udział w misjach niewymagających jej użycia.

Wchodząc do miasta, zwolnili. Przedzierali się kolejnymi uliczkami, zaglądając każdej za róg. Dzięki dobremu i wyczerpującemu szkoleniu działali teraz nad wyraz skoordynowanie. Ruiny napawały Busscho niepokojem, który przyćmiewała jedynie myśl o kaprału. Dręczyło go podejście Takashiro do jego osoby. Im bliżej byli celu, tym bardziej sprawiał wrażenie, jakby był sam na misji.

Do starego stadionu piłkarskiego było już niedaleko. Jedyna droga, jaka do niego prowadziła, to szeroka ulica. Oczami wyobraźni obaj widzieli, jak niegdyś tętniła życiem. Na chodnikach ogródki piwne, witryny sklepowe wypełnione towarami z całego świata, a nad głowami przewieszane migocące światełka. Jak na cofanym filmie na podglądzie, gdzieś tam połamane i wyblakłe szyldy wracały na swoje miejsce, a środkiem ulicy sunął tramwaj, wioząc ludzi do pracy.

Nagle z zamyślenia Busscho wyrwał jakiś szelest za sobą. Odwrócił się szybko i kątem oka zobaczył w oddali cień, który zaraz znikł w bocznej uliczce.

– Chyba ktoś nas obserwuje – zameldował.

– Gdybyś miał rację, nie doszlibyśmy aż tutaj – odparł Takashiro.

Wymówka o „jakimś zwierzu”, którą wymyślił sobie naprędce Busscho, była wystarczająco dobra, by mógł niewzruszenie iść dalej. Wiedział, że to coś było zbyt duże na pustynne zwierzę, lecz mimo to chciał w to wierzyć.

Biegli jeszcze przez chwilę, gdy dalej wśród cieni zniszczonych budynków, i roztańczonych gałęzi drzew, gdzie na ruinach wyrosło drzewo, znów dostrzegł cień. Ludzka sylwetka opierała się jedną ręką o pień drzewa, nie odrywając od nich wzroku. Przysiągłby nawet, że widział jasny refleks na jej oczach. Lodowaty wiatr przeszedł mu po plecach, jeżąc włoski na karku. Natychmiast przyspieszył kroku, by zbliżyć się do Takashiro.

Dopiero teraz zauważył, że kaprał coraz częściej się rozgląda, przyspiesza, a to zwalnia, mierząc w jakieś

niewidzialne punkty. Nie był to dobry znak. Wyraźnie pakowali się w kłopoty. Dotarłszy na miejsce, obaj marzyli, by jak najszybciej znaleźć się w środku.

Budowla od środka wydawała się jeszcze większa niż z zewnątrz. Labirynt korytarzy nie miał końca. Przenikał co rusz to w kolejny i kolejny. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, co potwierdzał wyraźny grzyb na ścianach i odpadająca farba. Suche liście zamiecione do środka przez wiatr szumiały po podłodze, tworząc echo dawnych imprez. Wzmagало to przytłaczające uczucie pustki i osamotnienia.

Przemierzając kolejne poziomy labiryntu za oknem, wśród cieni, Bussho dostrzegł znajomą sylwetkę. Tym razem był pewny, co widzi i nie były to omamy. Przykleił się szybko do ściany tuż przy oknie i wyjrzał za róg.

Na ulicy przed stadionem, kilka pięter pod nimi, obcy żołnierze krzatali się w popłochu. Wśród nich uwagę Bussho przykuła jedna postać. Stała w miejscu energicznie wymachując rękami.

– Szybko, szybko! – Krzyczał człowiek w arafatce ściśniętą goglami spawalniczymi na oczach. – Wszyscy na stanowiska! – Postać niczym dyrygent rozstawiała kolejne jednostki wokół stadionu. – Od was zależy powodzenie misji! Pamiętajcie, po co tu jesteśmy!

Wydawać by się mogło, że nikt go nie słucha, lecz prawdą było, że w tym chaosie każdy doskonale wiedział, co ma robić. Gołym okiem można było dostrzec ciężki, wojskowy rygor i lata szkoleń.

– Snajperzy na miejscach – rozległ się dźwięk w słuchawce. – Grupa uderzeniowa „Alfa” gotowa. Grupy „Bravo” i „Delta” również.

– Wiecie, co robić – powiedział dowódca i odwrócił się w stronę wejścia do jednej z ruin. – Do dzieła.

Wszedł pewnym krokiem do środka. Teraz wyraźnie było widać, że fasada budynku to tylko atrapa. Za nią rozciągało się średniej wielkości, połowe centrum dowodzenia. Nie zatrzymując się, podszedł do wielkiego kontenera z małym otworem. Wyraźnie musiało być tam coś, czego wszyscy się bali. Coś, co nie mogło uciec. Nawet ten mały kilkunastocentymetrowej szerokości otwór wzmocniono kratami i szybą przeciw pancerną.

– Przygotować Satori – powiedział do człowieka w kasku ochronnym, podobnym do tych, jakie noszą budowlańcy. – Nie stać nas na pomyłki.

– Tak jest panie generale – przytaknął człowiek w kasku i przystąpił do strojenia urządzeń odpowiedzialnych za obsługę klatek.

– Kurwa – wymamrotał pod nosem Bussho. Obaj czuli, że coś jest nie tak. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo wdepnęli. – Kapralu, chyba jednak nie jesteśmy sami.

Takashiro zatrzymał się jak wryty. Przez krótką chwilę, gdy stał nieruchomo, oświetlany przez blask księżyca, wyglądał jak mistyczny posąg.

– Szybciej. Nie ma czasu do stracenia – rozkazał i ruszył biegiem przed siebie.

Bussho zatkało. Nie miał pojęcia, o czym myślał kapral w tamtej chwili. Spojrzał raz jeszcze przez okno. Człowieka w arafatce już nie było. W miejscu, w którym stał, było puste pole. Reszta żołnierzy krzatała się, omijając je, jakby było skażone. Kolejne fale żołnierzy wylewały się z ruin budynku po drugiej stronie ulicy jak mrówki na żer. Bussho nie miał czasu zastanawiać się, kim mógł być ten człowiek, ale z całą pewnością był kimś ważnym w szeregach wroga.

Korytarz stadionu był długi i schowany w mroku. Światło księżyca, które wpadało przez oklejone brudem resztki okien, odbijało się refleksami w drobinach potłuczonych żarówkach. Gołe kable zwisały z sufitu, a ze ścian odpadał już wiekowy tynk. Na jego końcu, tuż za rozwidleniem, po obu stronach, trójka żołnierzy NR3 przygotowywała się do zasadzki na Takashiro i Bussho.

Gdy weszli do korytarza, zdawać by się mogło, że sytuacja, w której znaleźli się zwiadowcy, nie sprawiała na nich wrażenia. Szli lekko przygarbieni, pewnym krokiem, z uniesionymi karabinami, co rusz na zmianę „skanując” teren przed nimi i za oknami. Mijali je, kompletnie nie zdając sobie sprawy, w co się pakują.

// Z uwagi na korektę tekstu (czcionki, przypisy, ilustracje itp) zaleca się plik .pdf, który można pobrać za darmo (cały prolog) ze strony projektu <https://rydygerart.blogspot.com/search/label/opowiadanie>
Planuję w najbliższym czasie wydanie skończonej książki, więc jeśli Ci się spodoba, to nie zapomnij śledzić mnie także na FB: <https://www.facebook.com/rydygerart.blogspot/> //

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Rydyger, dodano 13.11.2017 09:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.